

J. I. KRASZEWSKI.



EWUNIA.

Opowiadanie z końca XVIII wieku.

TOM III.

WARSZAWA
NAKŁADEM „ZIARNA”

—
1913

Kran-2558



T. 1-4

Drnk E. Szyllera, Tamka Nr. 46.

1936 K 341

Bołtuszewski zbliżył się do Sykstusa zaciekawiony, plotki łakomy, bo sądził że w niej coś do wojowania przeciwko Żółtkiewiczowi wynajdzie.

— Tak, tak, do tego doszło, widzisz asindziej sam — rzekł zaperzony — trzeba wyznać wszystko.

— Rzecz się tak miała — odpowiedział Sykstus — pracowałem z usilnością u mecenasu lat kilka, to panu wiadomo.

— Ale to mi bardzo dobrze wiadomo — potwierdził mecenas.

— Raptem, każe mnie do siebie wołać pan Żółtkiewicz i powiada mi. Dosyć waćpan nauczyłeś się u mnie, kontent z niego jestem, daję ci sto

dukatów na drogę, jedź do Lublina z listem polecającym i kieruj się na człowieka. Na to ja podziękowawszy ślicznie, odpowiedziałem, że chcę w kancelarji pozostać, bo we własne siły ufności nie mam. Mecenasa się rozgniewał, że ofiarę jego i radę odrzucił i kazał mi się wynosić!

Bołtuszewski osłupiał.

— Dawał ci sto dukatów na drogę! ten sknera, ten dusigrosz! ten, ten... To nie może być.

— Spytaj go pan, nie zaprze się.

— Oho! oho! — podnosząc rękę do góry, zawołał Bołtuszewski, — wróble starych nie łapią na plewę! Jeśli on ci dawał sto dukatów, to na ewangelję przysięgam, że nie ze swej kieszeni.

Sykstusa uderzyło to rozumowanie.

— I jakże waćpan znowu odrzuciłeś sto dukatów i krescytywy, nie mając, potrzebując protekcji? bez

grosza przy duszy! O! moje dziecko!
W tem coś jest! to rzeczy nienaturalne.

Pani Bołtuszevska kontenta znać z logiki mężowskiej, stojąc we drzwiach zaczęła się śmiać po cichu.

— Przysięgłabym, że w tem kobieca sprawa — szepnęła po cichu.

— Mówcie sobie co chcecie, i ty, i Żółtkiewicz—dodał mecenas, chodząc po pokoju—tak rzeczy nie stoją, pod spodem jest co innego.

Sykstus ramionami ruszył, lecz rumieniec go zdradził, zmieszał się sam i oczy spuścił.

— Co do mnie, mogę panu zaręczyć—odezwał się—iż dla tego pragnąłem pozostać, bom się w tych stronach urodził, bo to moja rodzinna kraina, a w świecie, wśród obcych, choćby ze stu dukatami, wątpię ażeby sobie rady dał.

— Gadaaj zdrów!—odparł adwokat—albo jesteś ciemiega i gnojek, z

którego nic nie będzie *ad vitam aeternam*, albo musi ci się, jak każdemu młodemu świat śnić i uśmiechać. Leniwcem i ciemiegą nie jesteś, więc rzecz naturalna, tu cię coś więzi i trzyma!—buchnął Bołtuszewski.

Gdy to mówił, podsunęła się pani mecenasowa, osłaniając nieco rozwartą do zbytku suknię i poprawiając rozpuszczone włosy ciemne.

— No, przyznaj się, kawalerze—rozśmiała się—przyznaj, gdzie ci serduszko porwali! oho! oho!

Sykstus cierpiał jak na mękach.

— Pani mecenasowa dobrodziejko—rzekł skromnie—nie pora mi o tem myśleć!

—No! no! cóż to przed księdzem jesteś, na spowiedzi—zawołała.—Nie pora! a kiedyż będzie pora, jak zmarszczki przyjdą? aż posiwiejesz i okulawiejesz?

Sykstus zamilkł, spuszczaając oczy.

Bołtuszewski chodził, namyślając się.

— Jak tam sobie chce—odezwał się na znak przez żonę dany—mniej-sza o to, co masz w sercu, jeśli Zółtkiewicz potwierdzi coś zeznał, o czem nie wątpię—dodał—przenoś się asindziej do nas. Na tyle jest stancyjka naprzeciw stajni na dole, no, nie paradna, ale dla młodego dobra, proszę ją zająć i pracować. Do stołu będziesz asindziej do nas przychodził.

Mecenasowa popatrzała, zmierzyła chłopca oczyma, oczki jej zapalały i dodała.

— Już ja waćpanu ręczę, że tu mu będzie lepiej, niż u Zółtkiewicza, już ręczę.

Na tem się skończyły formalności przyjęcia. Sykstus natychmiast zabrał rzeczy, wniósł się do izdebki naprzeciwko stajni i do kancelarji poszedł po robotę. Bołtuszewski go sam

wprowadził, przedstawiając swoim aplikantom i pisarzom jako *alter ego* swojego i starszego.

Sam zaś jak mógł najprędzej, nadziawszy czapkę na głowę, wybiegł, szukając spotkania z Żółtkiewiczem.

— Ze w tem coś jest, jakieś szachry tego milczka i z cichapeką — mówił do siebie — nie ulega najmniejszej wątpliwości. Ale ja z niego to dobędę! ho! ho!

Dopiero jednak po godzinie sądowej, wyrachowawszy dobrze, by się zetknęli na grobelce z zamku, w którym były dekasterje, zszedł się Bołtuszewski ze swym rywalem. Żółtkiewicz, jak zwykle, kroczył powoli, zamyślony i na pozór obojętny, Bołtuszewski rwał się i biegł jak opętany.

— Dzień dobry kochanemu kole-dze!

— Do nóg upadam!

— Co tam słychać?

— Nic, mości dobrodzieju, nic.

— A ja muszę nawiasem powiedzieć—odezwał się Bołtuszewski—ulitowałem się nad Sykstusem Warką, boć to chłopiec dobrej familji i zdolny, wziąłem go do siebie.

Żółtkiewicz koso spojrzał.

— A! —rzekł—asiudziej go wziąłeś?

— Co było robić! co było robić!
— dodał Bołtuszewski.— Opowiadał mi całą historją tę, jakieście się rozstali. Waćpan znalazłeś się bardzo wspaniałomyślnie, szlachetnie, co mnie nie dziwi, a on, z pozwoleniem, dudek, że z tego nie skorzystał.

— A dudek! a dudek! -- rzekł Żółtkiewicz—jak sobie pościele, tak się wyśpi.

— Tylko — rozśmiał się Bołtuszewski — pozwoli sobie kolega powiedzieć, że jeśli wszystkim aplikantom zechcesz dawać takie posagi, a wprowadzisz taki prejudykat, to my się poskrobiemy dobrze. A toć po-

tem gotowi wymagać, żeby oprócz nauki, jeszcze im po sto czątych na wychodnem płacono.

Zółtkiewicz splunął, usta skrzywił, nie odpowiedział ani słowa, i odszedł.

— O! że w tem coś jest! — szepnął Bołtuszewski — to jest, ale ja tego dojdę.

Zółtkiewicz zachmurzony zwrócił się w swoją uliczkę, a idąc głową kiwał, kręcił i mówił w duszy.

— Biedy-m sobie napytał tylko, źle się stało, no, nie trzeba go było odpędzać, bo mi teraz z rąk wypadł, i od podczaszego burę usłyszę. Chciał go stąd wysłać, tymczasem teraz ja już władzy nad nim nie mam.

Splunął znowu i mruczając poszedł gderać na Siebonia.

*

*

*

Zgadł pan mecenas w istocie, że się podчасzy pogniewa, dowiedziaw-

szy, jak niefortunnie poszło Żółtkiewiczowi.

Odebrawszy list jego, stary zżył się dobre pół godziny, czuprynę tarł i posłał chłopca po zwykłego swojego towarzysza i doradcę, księdza Gule.

Reformat zjawił się wkrótce, z tabakierką w ręku i pobożnem powitaniem na ustach, spojrzał na podczaszego i poznał po twarzy frasu nek.

— Coś już jegomość pan podczaszę sumuje, sumuje.

— A! mój ojcie kochany, gorzej, bo zły — zawołał gospodarz. — Wystawcież sobie, ten hołysz, sierotka, ten Sykstusik, na którym łąpkę zastawił na pewno, bom dał sto dukatów, aby go Żółtkiewicz do Lublina wyprawił dla dalszej aplikacji, i dukatów odmówił, i jechać nie zechciał. Śliczna rzecz! Chłopiec dumny trochę, prawda, ale by takiej

przyjacielskiej pożyczki nie odrzucił, gdy czegoś w sercu nie miał. Więc mam wielkie podejrzenia, i, sam nie wiem co robić. Dałbym dwieście dukatów, żeby sobie jechał precz. Djabeł nie śpi, a moja Łwunia jakos mi się robi rezolutna, śmiała i przebiegła, aż strach.

— Ale bo, pozwoli sobie powiedzieć kochany podczaszy — zawołał ksiądz, przebierając w tabace — nie trzeba było używać do tego Żółtkiewicza. Znają go ludzie, że skąpiec jest okrutny, powtóre od niego przyjąć, i od obcego, a od kolligata jak na przykład od samego podczaszego, rzecz wcale odmienna.

— No, i cóż tu radzić? — spytał podczaszy.

— Wotuję i ja za tem — ozwał się Reformat—aby się go lepiej pozbyć. Czy co jest, czy nie ma, nie zawadzi nigdy ostrożność. Więc gdy już pan podczaszy znalazł powód,

słuszny pojechać do miasteczka, ale uchowaj Boże, dla tej sprawy, tylko wrzekomo dla innej, a pojechawszy niby tam się dopiero od Żółtkiewicza, i krewniaka (boć krewny) do siebie zwołać kazał i dał mu dobrą radę, a do niej dwieście czątych, chłopiec by, zdaje mi się, przyjął i ucałowawszy rękę pańską pojechał.

— Hm! nie zła rada, a jak, jak... się nie da przekonać?—spytał podczaszy.

— Pan przecież masz powagę opiekuna nad nim, masz wiek za sobą, masz... tyle, iż niemal rozkazać możesz.

— Ono to po części prawda—ozwał się podczaszy,—ale niechciałbym *in persona*, sam występować.

Reformat umilkł.

— To już jak wola pańska.

— A cóż począć! trzeba się pono ważyć—zawołał podczaszy—coś trzeba poczynąć, aby go stąd wyprowadzić, a potem da Bóg, co najrychlej Ewę

chorążemu zaswatać. Tylko, mówię wam, ojczu, taki mi z niej koziołek się zrobił, że go za różki pochwycić ani sposób.

Gula się rozśmiał.

— Mój jegomość, władza ojcowska, jakoś to będzie!

— Ale bo to serce ojcowskie z władzą w konflikcie ciągłym — westchnął stary — co jedno radzi, drugie by odradziło i człek sam nie wie, co robić.

— Westchnąć do patronki dobrej rady, panie podczaszy — rzekł ksiądz.

— Nam bo się może i uroiło, że ten bałamut w liście prawdę napisał. Mogła być kalumnia.

— Nie przeczę — rzekł Gula, ciągnąc tabakę powoli — lecz strzeżonego Pan Bóg strzeże.

Po tej naradzie we dwa dni jakoś złożyło się, iż podczaszy doprawdy do miasteczka pojechał, po mecenasie nie posłał, ale sam do niego po-

szedł, co ogromną rewolucję wywołało we dworku, bo stara Wawrowa, biegnąc po kawę i wino, o mało ze schodów nie zleciała i złocistą filiżankę saską stłukła, która ją wiele uez kosztowała. Stała ona potem drutem obwiedziona na półce u niej i ile razy na nią spojrzała, na płacz się jej zbierało.

W godzinę po przybyciu podczaszego, posłano po Sykstusa. Sykstus był przy robocie, wymknął się niewiedząc po co, gdyż go tylko do Żółtkiewicza proszono, nie mówiąc kto tam był. Stanąwszy w progu i zobaczywszy podczaszego, zmieszał się mocno. Żółtkiewicz był knty dziad, a podczaszcy też chciał Machiavella ndawać.

— Jak się asindziej masz! jak się masz, kochany panie Sykstusie—zawołał podczaszcy, jakby o niczem w świecie nie wiedząc — com to ja asindzieja nie widział tak dawno.

— Bo to pan Sykstus już u mnie nie aplikuje—odezwał się mecenas bardzo serjo — a dziś go tylko wezwałem dla objaśnienia w rzeczy tych papierów pana podczaszego, których znaleźć nie mogę.

— Jakto? jakto?—pochwycił stary — asindziej opuściłeś swego dobrodzieja, czcigodnego naszego Zółtkiewicza! a! to nie może być.

— Ja, panie podczaszy dobrodzieju, nie opuściłem go—cicho szepnął Sykstus—pan mecenas mnie sam odprawił.

— O! o! o! o!—począł głową wahając podczaszy—o! o! o! no proszę, a! a cóż się stało? co się to stało?

Sykstus milczał. Zółtkiewicz przybrał postawę majestatyczną.

— Bądźże pan sędzią między nami—odezwał się—przed jego trybunał sprawę wytaczam. Nie mogę inaczey choć w oczy, powiedzieć panu

Sykstusowi tylko, że *cum summa laude* u mnie pracował. Biorąc w konsyderację młodość, zdolność, pracę, rodzinę godną, pomyślałem sobie, trzeba mu dopomódz do krescytywy, ofiarowałem sto dukatów na drogę i listy polecające, aby do Lublina pojechał, *ad fontem*, czerpać *praxis* i wyjść na *juriconsultus*. No, cóż waćpan dobrodziej powiesz? co powiesz? Odrzucił moją radę, wzgardził ofiarą i, uparł się tu gnić. Na on czas, przyznaje się, ogarnęła mnie nieco pasja i powiedziałem mu: szukajże sobie gdzieindziej lepszych przyjaciół i doradców.

Podczaszy słuchał, patrzył, głowę kiwał i dumał.

— A no, widzisz asindziej--począł po chwili — nie bez kozery jest to oddalenie się wasze. Starszych słuchać zawsze potrzeba. Zgrzeszyłeś kochanku, nie ma co się uniewinniać! zgrzeszyłeś. Należy się poprawić.

Westchnął podczaszy, bębniąc palcami po stoliku.

— I po co to było przyjmować zajęcie u Bołtnszewskiego, toć to zawsze antagonistą *natus* waszego dobroczyńcy.

—Przepraszam pana podczaszego—przerwał Sykstus—nie miałem z czego żyć, pracować muszę.

— Dla czego tu w kącie siedzieć? czemu się upierać? co to jest?—rzekł stary—czemu rad przyjacielskich nie słuchać. Ja przecież krewny jestem i mogę się uważać za opiekuna waszego, a lepszej rady i skuteczniejszej dla przyszłości waszej dać bym wam nie mógł na tę, jaką wam pan mecenas dawał. Cóż to za uporek? he? koniecznie tu siedzieć?

Sykstus milczał.

— Nie, to tak nie może być—odezwał się podczaszy—posłuchaj mnie asindziej, ja tę sprawę rozsądzę. Mecenas swej ofiary pewno nie cofnie,

a ja, jako kolligat, daję do niej od siebie drugie sto czerwonych złotych i jedź waćpan do Lublina.

Biedny chłopak zmartwiał, stojąc u drzwi, czuł w tem jedno, co go przerażało, że się go stąd widocznie pozbyć chciano. Domyślał się, że podczaszy coś zasłyszeć musiał i nie życząc sobie nadawać temu rozgłosu, tak zręcznie chciał go stąd wypchnąć z pomocą Żółtkiewicza. Wszystko to stało mu przed oczyma, serce się ścisnęło, stał niemy. Podczaszy i mecenas milczący też czekali odpowiedzi.

— Panie podczaszy—skłaniając mu się do kolan, głosem drżącym od wzruszenia począł Warka—byłeś pan dla mnie równie łaskawym opiekunem, jak szanowny mecenas, ofiara pańska napełnia mnie wdzięcznością niezmierną, ale ja siebie znam, lepiej niż mnie ktokolwiek znać może, ja wiem, żem nie stworzony do

latania za szczęściem po świecie, ja w sobie sił nie czuję, ja jechać nie mogę, nie, nie mogę.

— Czy oszalał! — krzyknął — co ci jest? co za muchy w nosie? Co to takiego? Swoją wolą a głową chcesz się rządzić, a nie słuchać życzliwych serc? ale to, mości dobrodzieju, nie dziw, że mecenas się pogniewał, bo i we mnie wątroba rośnie. Co asanu jest! co asanu jest!

Napadnięty tak gwałtownie War-ka stał jak winowajca, oczy miał łez pełne, a usta zacięte, słów mu brakło. Czuł, że dalsze rozprawy byłyby przykre, a do niczego już nie wiodące oprócz większego rozdrażnienia, podszedł do podczaszego ścisnąc go za kolana, nisko się skłonił mecenasowi, i, gdy ci sądzili, że deprekować będzie i nareszcie ulegnie, wyniósł się z pokoju.

Obaj starzy pozostali jak wryci, popatrzyli na się, zmilczeli, a na

twarży podczaszego odmalowało się nieukontentowanie widoczne i zakłopotanie. Tłumaczyć się nie chciał otwarciej; obawiał się nawet, aby go nazbyt nie odgadł mecenas, wstał i dodał zimno:

— Biedny chłopak, nic z niego niggy nie będzie, ambicji mu brak, chciałem go pokierować. Nie wina moja, że tu zerdzewieje. A jeszcze u tego Bołtuszewskiego, u tego zgagi pewno się nic dobrego się nie nauczy.

Zwracając tedy rozmowę począł prawić o Szumlańszczyźnie, choć ze słów podczaszego poznałby każdy, iż nie wiele brał do serca to o czem mówił.

Podczaszy wkrótce wrócił do gospody, przez cały jeszcze wieczór dla niepoznaki bawił jeszcze w miasteczku, dopiero nazajutrz wielce zamysłony do domu nazad odjechał.

Sykstus tymczasem niepostrzeżenie

powrócił do swej roboty u Bołtuszewskiego, i ze łzami w oczach, ale mężnem sercem, pisał, nie wiedząc nawet co jego ręce odwzorowują z leżącego przed nim raptularza.

Nie mógł się skarżyć aby mu tu gorzej było niż u Żółtkiewicza, bo sama jejmość szczególną miała nad nim protekcję i pieczołowitość, po części dla tego że chłopak był ładny, i że się domyślała niewieścim instynktem, iż na serce bolał.

Kobiety nad takimi męczennikami powszechnie zwykły mieć wielkie politowanie.

* * *

Z konkurentów Ewuni chorąży teraz stał najlepiej, ale dwaj młodzi panicze, którzy jeszcze nic o tem nie wiedzieli, krzatali się też niepomału, aby sobie przystęp do domu i łaski od pięknej jedynaczki wyjednać.

Łatwo się domyśleć z tego, co w popielec uradzili, iż pismo, które tak podczaszego zafrasowało, ich było dziełem.

Śledzili też przez wszelkie możliwe środki, skutku jaki ono wywarło. A mieli skrytych swych popleczników pod bokiem w Górze, którzy im donosili o wszystkim.

Czego nie wiedzieli, tego się im było łatwo domyśleć! Spenetrowali zaraz ów pierwszy manewr podczaszego przez mecenasa wykonany, który miał Sykstusa oddalić, i wiedzieli, że się nie udał. Dowiedzieli się potem o drugiej próbie, bo się Zółtkiewicz wygadał, chwając wspałałomyślność starego, i o tem, że Sykstus wziąć się nie dał, ani odprawić; śledzili jego zaciągnięcie się do kancelarji Bołtuszewskiego, i zafrasowali niemało, widząc jak chłopak twardo się trzymał.

Ani Walek Brochwicz sędzic, ani

Szczepek Janosza pisarzowicz, nie byli zepsutymi, ani złymi ludźmi, przecież że tu szło o posażną pannę, a współzawodnik był sobie ubożuchnym gryzipiórkim, jak oni go nazywali, gniew doń w sercu mieli wielki. Wiedzieli, że Sykstus Warka co do rodu i pochodu był im równym, lecz że już nie *possesionatus*, bez ziemi sierota i aplikant sądowy, śmiał tak wysoko oczy podnosić, i na równi z nimi stawać, dolegało im to mocno. Bądź co bądź trzebaż się go było pozbyć, aby w drogę nie włąził.

Nie udało się jedno, czego innego trzeba było próbować. Walek szczególnie, zacięcie chodził koło tego, a Szczepek mu też pomagać obiecywał. Potem, choćby na węzłki ciągnąć między sobą, ale dać się takiemu biedocie wysadzić i najpiękniejszą pannę wziąć sobie z przed nosa! Niedoczekanie jego.

Zjeżdżali się na radę, raz i drugi, czasem nawet rejenta i Machcewicza w pomoc przybierając.

Było już jakoś po środopościu, gdy w miasteczku tym razem zetknęli się wszyscy. Walek, Szczepk, rejent i Machcewicz. Jeść nie było co, jak zwykle naówczas po małych mięscinach, pić się prędzej znalazło. Przekąskę też, bigos z faseczką, ja-ja twarde, pieczeń na zimno lub wędlinę każdy z sobą woził. Gdy do kupy się zebrali, posyłał każdy po to co miał, stawiano kilka butelek i wszyscy sobie byli radzi.

Właśnie Walek krzyczał i dowodził, że choćby chłopca na szablach roznieść przyszło, to mu panny nie dadzą, gdy nadszedł rejent, który był chwilowo się oddalił.

— Powiem waćpanom taką nowinę, ale to taką nowinę—zawołał—ale taką, że się wam spiskować przeciw Sykstusowi biednemu odechce.

— Naprzykład?—krzyknął Walek—ciekawym.

— Wiecie historję chorążego Brdęskiego?

— Co za historję? co? jak?

— Przed godziną jam dopiero jej nabył—rzekł rejent—ciekawa jest i osobliwa, tylko mi bajką śmierdzi i jakaś djabłą sprawą.

— Co to takiego? mów.

— Brdęski chodzi w żałobie, zmarł mu w Hollandji, w kraju gdzie się dukaty rodzą na piasku, jakiś stryjeczno-cioteczno-wujeczno-babeczny dziadek i, zostawił mu spadek 50,000 czątych.

— Ale cóż znowu!—buchnęli wszyscy chórem. — Żartujesz, czy drogi pytasz.

— Szczera prawda! tak jest. I niechby sobie odziedziczył 100,000, nicbym nie rzekł, ale w kilka dni potem pojechał cichaczem do Góry, i, oświadczył się, nie pannie, która o tem

nie wie nic, lecz podczaszemu. Podczaszy się z nim upił, uściskał go, i obiecał mu, tak dobrze jak napewno Ewunię.

Chórem zakrzyknęli wszyscy.

— A niech go porwą! nie może być! Być nie może!

— Dzieci moje najulubieńsze, ręczę za to bo mówię, komu pilno się żenić, niech rusza do panny Marty Żyrowskiej na pewniaka, a ta nie odrzuci choćby kulawego, co się dotyczy Boskiej Ewuni, klamka zapadła, *finita historia*. Chorąży na holenderskie dukaty nam ją złowił jak na wędkę.

Wszyscy oniemieli.

— Kochany rejencie—krzyknął Machowicz—mnie nie pozostaje tylko sobie w łeb strzelić, więc mniejsza troska, bo o kulę, pistolet lub strzelbę łatwo, ale wy co poczniecie? panna Marta jedna na was trzech nie wystarczy, dodawszy to, że może

Dydak na kulig już *quasi sponsus*, pierwsze ma prawo. Żart na bok, bajki nam prawicie.

Rejent ramionami ruszył.

— Klnę się wam na szlachecki klejnot mój, iż co mówię, o tem będą w całym miasteczku.

— No to już naszego trzeba było nieszczęścia, aby coś takiego się wydarzyło, co na świecie nie bywa, byle nam pod nos finfę puścić!—rzekł Walek.

— Pozwólcie mi dodać słowo jedno *ad vocem* panny Ewy—zawołał Machcewicz.—Ten aniołek, moi panowie, jeśli się nie mylę, nie da się wziąć nikomu ani na dukaty, ani na ojcowską dyspozycję, ani na nic takiego, czego do serca nie przyjmie. Zato ręczę. Choraży ma może przyrzeczenie tatka, ale do tego do... kobierca, droga długa i ciernista. Panowie!—zawołał—nie darmom kłęcząc, w te oczy się wpatrywał, u-

patrzyłem w nich za co przysięgnę, że panować i rozkazywać mogą, słuchać nie zechcą ino serca! My tu spiskujemy na Sykstusika — dodał pocziwy Litwin—jesteśmy niby na sejmiku, który pospolite ruszenie ma votować, bracia a przyjaciele, posłuchajcie mojego *Votum*, a potem zrobicie, co się patrzy.

Po mówiąc, mały Machcewicz wdrapał się na stół i z wielką patetycznością, niby mówca w licznej zgromadzeniu, przemówił.

— Mnie wielce miłościwi panowie a bracia! Raczyliście mnie do głosu dopuścić, w sprawie serca i honory nasze obchodzącej, w sprawie wielkiej i ważnej, dajcie łaskawe ucho, abym mógł przelać *mentem meam*, nie do uszu samych, lecz aż do głębin serc ichmościów panów braci a łaskawych dobrodziejów. *Brevis esse volo*. Znamy wszyscy sprawy zawiązek.

— Powstało oburzenie w nas *wszystkich sine exceptione*, gdyż i ja wam uległem, przeto, iż młody chłopak, ubogi, gryzipiórek pono się w serce wkradł, które my posiąść, a przez nie rękę bóstwa pragnęliśmy. Uniósł nas gniew, zły doradca, aż nowe przestępstwo oczy nam otwiera, bijmy się w piersi! Za co tu Sykstusika prześladować, jeśli owo bóstwo ku niemu skłoniło oblicze? Czy nie słuszniejb y burzyć się a sprzymierzyć przeciwko temu, który panny nie pytając, serce jej lekceważąc, o afekt się nie starając, nas za bajbardzo nie mając, odziedziczywszy faskę holenderskich śledzi, chciałem mówić dukatów, chce gwałtem i przemocą, nadużywając władzy ojcowskiej i preporderencji dukatowej, pochwycić ją, i uczynić nieszczęśliwą? Ażalisz nie szlachetniejby było, nam rywalom rycerskiego ducha pełnym, przeciwko takiemu roz-

bójnikowi wojować, niż przeciw odważnemu a słabemu chłopięciu? Ażaliż wina to jego, że patrząc w słońce ślepnał? że urokowi uległ, że ma męstwo kochać bez nadziei?

— Tybyś kaznodzieją zostać powinien—rozśmiał się rejent—boś mnie skonwinkował.

— A może być że i będę—rzucił Machcewicz, wzdychając okrutnie — bo gdy me bóstwo pójdzie do ołtarza, ja kaptur przywdziewam i opatruwszy, w którym z klasztorów najtłuszciej jeść dają, wchodzę do nowicjatu.

— Mnieś nie przekonał—rzekł Walek—ale ze złości na tego chorążego, gotówem choćby Sykstusikowi pomagać.

— No, to i ja—zawołał Szczeppek.—Macie szłusznosc, uczciwiej jest takiej miłości podać rękę, niż ścierpieć aby stary, zawiędły taki łowiec na

posag, różyczkę tę wziął, i by mu w rękach brudnych uwiedła.

— Vivat Machcewicz! — zawołał rejent.

— Vivat Ewunia! — podchwycił Litwin — bóstwo moje! anioł złoty. Lecz o słowo jeszcze proszę.

— Pan Machcewicz ma głos.

— Bądźmyż godni wielkiego czynu, do którego się zbieramy, i jako owi Amadysowie a Rodrygi starzy, uczynmy co mamy czynić gustownie, szykownie i misternie, jak się patrzy.

— A no, więc cóż? — spytał rejent.

— Juramentem się zwiążmy, iż Ewunia kogobykolwiek serce jej wybrało, a wedle wszelkiego podobieństwa już znanemu nam Sykstusikowi, pomagać całemi siły przeciw chorążemu będziemy, lecz jak? w tem sęk? w tem perła? na tem rzecz? pomagajmy tak, by ani on, ani nikt się

tego nie domyślał i tajemnica zaprzy-
siężona. Chorążego nie dopuścić,
Sykstusa popierać, a wrzekomo, jak
niewinne baranki pozostać na boku.

— Nie, ty jesteś ua ministra stwo-
rzony?—rzekł rejent.

— A dopiero co kapucynem mia-
łem być?—spytał Machcewicz śmie-
jąc się—oho! oho!

Wszyscy chórem śmiechowi wtó-
rowali, a bądź co bądź, Machcewi-
cza myśl jednogodnie przyjętą zo-
stała.

— No, teraz wyznajemy panowie—
dodał Walek—że tym listem zrobi-
liśmy paskudną rzecz.

— Ani słowa, tem ci więcej nale-
ży wynagrodzić za popielcową lek-
komyslność.

— Łgodą! i sza, i cicho!

Machcewicz zlażł ze stołka.

— Panowie zapijmy sprawę, potem
naradzimy się nad środkami wyko-
nania.

Domówił tych wyrazów i chwytano za butelki, gdy w zajezdnych wrotach zabębniło coś, właśnie się słyszeć dało. Stój! czekaj! karczma pełna! Zajechać nie ma gdzie! A potem hałas, wrzawa, zgiełk i pisk żydowski.

Rejent drzwi otworzył i wyjrzał, mrugnął brwiami do towarzyszków.

— O wilku mowa, a wilk za płotem?

— Kto? co?

— Chorąży! chorąży!

Umilkli wszyscy. Słysząc tylko było jak ludzie chorążego, zwykłym trybem świeżo spanoszonych szczęściem swojego pana, darli się z żydów o zajazd.

— Tu go zaprosić—szepnął Machcewicz — wypatroszimy go przy kieliszku.

Głowami potakiwano w milczeniu, a rejent wyszedł.

— Dobry wieczór panu chorążemu.

mu, cóż to pan tak nieszczęśliwie uwiązał we wrotach.

— A któż wiedział, że karczma pełna!—odparł chorąży.

— Wiesz pan co, nim ludzie brykę w tył wycofają i inną kwaterę wynajdą, chodź pan do nas, jest tu kilku dobrych znajomych, Walek, Szczeppek, Machcewicz.

Chorąży, który zawsze był nieco krochmalny i sztywny, a od dukatów tych znać jeszcze się twardszym zrobił, nie bardzo widać życzył sobie wniść w to towarzystwo młodzieży, ale i z bryczką nazad jechać nie było wesoło, wyszedł więc i dawszy się namówić, wszedł do izby.

Na jego przyjęcie, nagle wszyscy bardzo poważne przybrali twarze, cichość zapanowała w pokoju. Chorąży wsunął się pozdrawiając, zrobiono mu miejsce, postawiono zaraz kieliszek, ale, jak makiem siał, nikt nie przemówił.

Wreszcie rejent, który gospodarza rolę na siebie wziął, ozwie się.

— Pan chorąży pewnie do miasteczka po sprawunki na wielkanocne święta? bo to za pasem.

— Ja w święta nie będę w domu—odpowiedział Brdęski—muszę jechać w podróż.

— A! prawda!—przerwał Machcewicz—słyszeliśmy coś, ale czy też to rzeczywiście spadek w Holandji?

— Tak jest — rzekł poważnie pan Celestyn—tylko się obawiam, ażeby mi wiele kłopotu nie przyczynił.

— Jeszcześmy też panu nie powinszowali—dorzucił Szczopek—a jest czego, jest czego.

— Bardzo dziękuję—mruknął chorąży—wielka w istocie niespodzianka. Czekam listów tylko i do Holandji jadę.

— Kiedy?

— No, nie wiem, jeszcze się to przewlecze—odparł Brdęski—z domu

nie tak to łatwo ruszyć, a jeszcze nie wiedząc kiedy się powróci, kraju się opuszczać nie chce.

— Pewnie, pewnie—odbaknął Machcewicz—zwłaszcza jeśli, jeśli serce ku niemu pociąga.

Pan Celestyn spojrział jakby nieco przestraszony, że już coś zwietrzono i zmilkł.

Rozmowa nie bardzo się kleiła.

Młodzież spoglądała po sobie.

— Pan dawno był w Górze?—rzucił Walek.

— Owszem nie tak bardzo—rzekł Celestyn zmieszany, spuszczaając oczy—nie tak dawno.

— Już po sukcesji? — spytał mecenas.

Celestyn zaczerwienił się i nie odpowiedział nic.

— Naturalnie, z tak dobrym przyjaciелеm jak podczaszy, trzeba się było podzielić. No, i nie bez tego żeby ona różowych uszek panny E-

wy nie doszła, a to zawsze dobre czyni wrażenie i na serduszkach kobiecych.

Brdeński mignął oczyma, lecz pełnemi jakiegoś gniewu, miał usta, a na słowo zebrać mu się było trudno.

— Czy pan ma intencję—zapytał—żarcik sobie trefny stroić?

— Nigdy w świecie — zaklął się Machcewicz — jestem tak małego wzrostu, że nie mogę żartować nigdy ze słuszniejszych, bobym dawno był rozsiekany.

Wszyscy się rozśmieli, chorążemu kwaśno się zrobiło, radby był już pójść, ale w tej chwili nie sposób opuścić towarzystwo.

Rejent się zbliżył do niego z kieliszkiem.

— Ten Machcewicz, litewski szaraczek—rzekł—taką ma gębę, że jak brzytwą, byle dotknął, do krwi gotów zaciąć.

— Ja znowu gębą się nie pochwa-

lę — odparł chorąży — ale w rękę siły trochę mam.

— Dajże mi chorąży pokój — rozśmiał się Machcewicz — nie wątpię nie tylko o tem, ale i o głowie, bo proszę państwa, cośmy się natańcowali koło złotowłosej Ewuni, a żaden nie śmiał tatka w rękę pocałować, gdy pan chorąży...

Chorąży wstał jakby go ruszyło co.

— Waćpan to skąd wiesz? — krzyknął z impetem.

— Caluteńkie miasto wie, sztafety wysłano do Warszawy! — odpowiedział Machcewicz — drugą do Wiednia, a trzecią do Berlina.

— Ale odczep że się ty komarze odemnie — krzyknął Brdęski.

— *Testis habeo*, komarem mnie nazwał — pochwycił Machcewicz — stój waćpan, aresztuję. Jest familja szlachecka Komarów, lecz ja do niej nie należę, komar zaś którym mnie

oplwałeś, jest zwierzęciem kaśliwem. Obelga!

— No, to ci z niej gotowem zdać rachunek!—ponuro zawołał chorąży.

— Natychmiast! *stante pede*, tu, wnet — rzekł Machcewicz, ja z koma-rem do łóżka nie pójdę, a że w szable nie równa gĩa, chybabym na stołku stanął, na pistolety.

-- Panowie! — począł rejent.

-- A! nie nie! nie może być inaczej—wrzeszczał Machcewicz — niech przeprosi i to ładnie, a nie—strzelam się.

— No, to strzelamy się, kat cię bierz—wrząco rzekł chorąży—strzelamy się.

— Jeszcze mnie katu śle! ha! ha! sameś do bicia się zdał.. — udając gniewnego mówił Machcewicz.

— A to mnie tu lichó wnijsć na- dało—mruczał Brdęski.

— Zgódźcie się panowie, taż to

bzdurstwo—mówił rejent—nie ma o co pistoletów nabijać.

Pan Celestyn stał milczący. Machcewicz krzyczał. Nie! nie.

Jakoś ich zdołano rozdzielić, a tymczasem na prawdę około pojedynku się zabrało. Najwięcej się Machcewicz odgrażał i sierdził. Chorąży był chmurny, wasa tarł i kręcił, ale zabiegł rejent i drudzy pół serjo, pół żartem prosząc Brdęskiego, aby Litwina nie zabijał, naleli mu kieliszek, gwałtem ręce pochwycili i zbliżyli, zmusili nawet do kwaśnego pocałunku i ten słomiany ogień zagasł jednej chwili. Zalewać go też zaczęto obficie, a młodzież obstąpiła chorążego i poczęła mu znowu przedrwiwając szczęścia winszować, tembardziej, że sobie wszyscy poprzysięgali do niego nie dopuścić. Brdęski choć pił, a wyrywać się nie śmiał, bo potrzebował jako nowy człowiek stosunki pozawiazywać i z

ludźmi żyć, markotny był i milczący. Tym szalało w głowie i wymęczyli go na wsze strony dosyć, nimpuścili.

Gdy za bramą był, dopieroż chórem śmiechy poleciały za nim, których, jeśli je słyszał, ułęknać się musiał, a wrzawa nieopisana. „Widzieliście, wołali jedni, jakie dumne panisko! a co za mina, a jakie ministerjalne milczenie! a jak to się na nas patrzyło! daj go katu. I to temu by się Ewunia miała dostać. Niedoczekanie jego, lepiej będzie mu wszyscy dopomagali Sykstusowi. Nasz-ci jest, z naszej tu ziemi od pradziadków, a chłopak, wszyscy mówią, uczciwy i pracowity, no, i panna go kocha.“

— A kto to powiedział? — spytał Machcewicz—uroiliście sobie z tego, że ktoś widział, jak mu dysponowała może, żeby zrazy podawać kazał, albo się komuś zdało, iż nań mile spojrziała. A na kogo Ewunia inaczej patrzy?

— Ależ ojciec już go pono wypędził?—rzekł rejent.

— Jakaśmy plotką strachu mu napędzili? co za dowód! Więc rozstać czaty — dodał litwin — pilność! bacznosc! Jesteśmy sprzymierzeńcami serduszka panny Ewy, chcemy aby szczęśliwą była i kogo wybierze, temu śpieszym w pomoc, *corde et ense, unguibus et rostris*. Vivat Ewunia!

I długo rozlegał się ów *Vivat*, aż gospodarz u którego pito, zadumał się nad tem, kogo tam honorowano, był pewny, że nowego deputata.

Podczaszy powrócił do domu z niefortunnej wyprawy skłopotany bardzo, niepokoił go widocznie Sykstus, a nie wiedzieć, co z nim począć było. Namyslał się dni parę, trzeciego z biletem posłał do chorążego, aby przybył do Góry. Bręski wkrótce miał już wyjeżdżać do Holandji, chciał go widzieć przed

odjazdem podczaszy, jakoż zastało go pismo w domu i pan chorąży pośpieszył.

Proszony był na obiad, znać aby dłużej przy pannie mógł atentować. Gospodarz przyjął go w ganku, uściskał, poprowadził do swego pokoju, i kazawszy tu podać wódkę i przekąski, nim nadszedł ksiądz Gula, ucałowawszy go, rzekł mu na ucho.

— Wiesz asindziej co, Bóg raczy wiedzieć, jak tam długo przyjdzie między tymi Holendrami zabawić, tymczasem, sądzę, że nie zawadzi, przyszłej przyjaźni dozgonnej założyć fundamenta i bliżej się starać poznać z Ewunią. Dobrze to jest dziecko. Zbliź się asindziej, paręrazy przyjedź, kobiety to lubią, żeby koło nich tańczowano.

Chorąży, jak zawsze milcząco, ale zawsze z wielką wdzięcznością zdawał się tę radę przyjmować, w ra-

mię aż pocałował podczaszego i zamruczał coś jakby o wdzięczności.

Dobrze przed obiadem wyszli do pokojów, gdzie już dziewczę z burstynowemi włosami przechadzało się niecierpliwie, podczaszy, stary wyga, podprowadziwszy chorążego do niej i poleciwszy, sam tak zręcznie manewrował, ażeby wcale rozmowie nie przeszkadzał.

Panna zwykle wesoła i na ten raz chmurnego nie miała oblicza, twarzyczkę wielce ożywioną, oczki bystro latające, a na ustach jakby wyzywający ironiczny uśmieszek. Mierzyła oczyma chorążego od stóp do głowy, od głowy do stóp, aż się zmieszała.

Ojciec chodził, dysponował, krzątał się, z Reformatem baraszkował, niby nie widział nic. Chorążemu w umizgach szło jak z kamienia, rozmowa jak wołu z sarną sprzągł, targana była na wsze strony.

— Kiedy pan choraży do Holandji jedzie?—spytała Ewunia.

— Miałem już w tych dniach.

— Cóż pana wstrzymało?

— Przyznam się pani, iż mnie wiele rzeczy powstrzymuje, a nie najmniejszym powodem ociągania się mojego jest i to, że dom tak łaskawy podczaszego na długo opuścić będę musiał.

Ewunia się uśmiechnęła.

— Pan podczaszy, chciał pan powiedzieć, tatko, pewno też za panem tęsknić będzie.

— I, nikt więcej!—westchnął choraży.

— A no! nie wiem—odpowiedziała Ewunia śmiejąc się — ksiądz kapelan może.

— Pani, nie?

— Ja? — rozśmiała się Ewa — ja po nikim nie tęsknię, bo wiem, że po mnie też nikt nie zatęskni.

— O! panno podczaszanko dobro-

dziejko! kto panią ujrzał, kto się do niej miał szczęście przybliżyć, byłby z kamienia, gdyby nie pragnął widzieć ją zawsze, ciągle, nieustannie.

— A! co toż to pan mówi—poczęła naiwnie Ewunia — tak jakbyś pan miał dwadzieścia pięć lat, i zakochał się we mnie.

— Można łatwo zakochać się w pani i w trzydziestu kilku!—zawołał chorąży uradowany obrotem szczęśliwym.

— Ale pan ma pewnie więcej niż czterdzieści!—rozśmiała się Ewa.

Brdeński zmieszał się.

— Chociażby — rzekł — ale serce młode.

Ewa na niego popatrzyła.

— Nie wierzę temu, żebyś pan mógł taki sobie kłopot wziąć na głowę—odezwała się śmiejąc.

— Jaki kłopot? — spytał chorąży.

— Ja panu powiem — żartobliwie poczęła, chodząc żywo po pokoju Ewunia. — Najprzód jakbyś pan się pokochał, musiałbyś puścić się w konkury, a gdybyś się zakochał we mnie, tobym pana na śmierć zamęczyła wy-
maganiem, bo ja mam takie postanowienie, że mój konkurent bodaj ze smokami i olbrzymami walczyć musi... póki ja mu uwierzę, potem, nużby się panu chorążemu udało... zemną byś ożeniwszy się nie wytrzymał.

— A to dlaczego?

— Bom kapryśna, i mój przyszły, albo mi musi służyć na dwóch łapkach, lub mu bardzo źle będzie.

— O! pani się ogaduje i żartuje — rzekł Brdeński.

— Gdzie tam! gdzie tam — zawołała Ewunia — połowy jeszcze nie powiedziałam co go czeka. A, ucho-
waj Boże! by zapragnął ożenić się mimo mej woli, korzystając z ojcow-

skiej dla siebie przyjaźni, to niech się wcześniej gotuje na to, że chwili pokoju mu nie dam, mścić się będę.

— Przecież któżby się ważył starać o tę śliczną rączkę, nie pozyskawszy serca.

— O! moje serce trudne! — szepnęła Ewunia—wiele wymaga, a gdyby śmiałek rachował na to, że je poślubie sobie pozyszcze, nie do zażdrości by miał życie.

— Pani tak odstrasza—rzekł chorąży.

— Nie, mówię co myślę, jestem szczerą do zbytku—odparła podczaszanka—wierz mi pan.

Spojrzała nań wyraziście, biedny konkurent stał skonfundowany.

— To niechże mi pani powiedzieć raczy, czem się jej spodobać można? — spytał po chwili.

— To bardzo trudno—wesoło na pozór mówiła Ewunia.—U panów jest

przysłowie, śmierć i żona przeznaczona, u nas to maksymą, że kogo się ma kochać, nie wiedzieć dla czego się kocha. Daremne staranie, musi to przyjść samo. Tak mi przynajmniej zawsze mówiono, bo ja, ja o tem jeszcze nic nie wiem — dodała wesoło—i! i wiedzieć nie chcę! Mnie tak dobrze na świecie, a w jarzmo małżeńskie mam jeszcze dużo czasu się wprządz.

Zaśmiała się. Chorąży dosyć odpalony, stał, udając wesołego.

— Jednakże pani wymagać musi pewnych od przyszłego towarzysza dożgonnego kwalifikacyj?

— Tak dalece więcej nie nad to, że powinien być gotów każdej godziny na moje rozkazanie karku nadkręcić, bo inaczej mu nie uwierzę—szybko rzekła Ewunia. — Już taką mam imaginację.

— Czy pani Koloandra czytała?—uśmiechając się spytał Brdeński.

— Nie tylko Argenidę, Koloandra, ale wszystkie znam historie tego rodzaju i bardzom ich ciekawa.

— Niestety nie naszych to czasów historie! — westchnął chorąży.

— A dlaczego? bośmy my się w niewolę zaprządz dały, ale ja postanowiłam to przeinaczyć.

Chorąży pragnął rozmowę w śmiech obrócić, choć Ewunia była coraz bardziej poważną.

— Wie pani, że wszystko co słyse, mogłoby mniej odważnego strachem napełnić, wielka wszakże admiraćja dodaje męstwa — mówił Brdeński. — A męstwo pędzi w szranki.

— Ah! juściż przynajmniej nie panna! — zaśmiała się Ewunia — pan masz lat najmniej czterdzieści, wszyscy to mówią, ja jeszcze pełna nie mam dwudziestu, śmiano by się z niego... daj pan pokój. Ot, panna Marta Ży-

rowska co innego, ta w sam raz dla pana.

Odwróciła się szybko, a Brdęski pozostawszy z tą odprawą w środku pokoju, całej siły jaką miał nad sobą użyć musiał, żeby z wesołą twarzą zbliżyć się do podczaszego. A w duchu mówił sobie:—No! no! koziołek z panny, lecz jeśli myśli, że się zlekne, myli się panienka, po ślubie to wszystko wywietrzeje, a ojciec z siebie żartować nie da. — Podczasz, który zdala się trzymając, tylko ożywioną widział rozmowę, zatarł ręce i wróżył sobie zawczasu jaknajlepiej.

Zbliżył się do tego, którego w myśli już przyszłym zięciem nazywał, ujął go pod ramię i poprowadził z sobą. Brdęski ruszał się jak mógł, rażno mu wszakże nie było. Siedli do stołu. Tu rozmowa się powszechna ożywiła, posypały anegdotki, Ewunia z dziecienną wesołością udaną czy

prawdziwą, śmiała się i chichotała, a ojciec ucieszony dolewał kieliszki jedno po drugim, nie żałując.

Wstali od stołu wszyscy w humorach wyśmienitych, nawet Brdęski trochę rozmowy przedobiedniej zapomniał, wytłumaczył ją sobie żartami i orzeźwił. Po obiedzie podczaszy zawsze kwadrans w krzesła drzemać musiał.

Zabierając się do spełnienia tej funkcji mrugnął chorążemu, korzystaj asindziej i przysiądź się, przysiądź, nie ma co odkładać.

Więc gdy ksiądz Gula i inni rezydenci w tymże pokoju siedli do marjasza, podczaszy do drzemki, bo to się zawsze odbywało w ten sposób, chorąży poszedł do panny, w której oczach figle błyskały!... Stali u okna.

— Bardzo mi — odezwał się — utkwiała w myśli przedobiednia rozmowa, strach po mnie chodzi pan-

no podczaszanko dobrodziejko, boć to już tać trudno, widzi pani przed sobą śmiertelnie rozkochanego człowieka!

— W kim? w czym? — spytało nielitościwe dziewczę.

— W kimżeby, jeśli nie w tem kompedjum wszelkich doskonałości, jakim jest pani?

— Po obiedzie, widzę, pan chorąży jeszcze szczerzy niż na czczo! — rozśmiała się Ewa — ale ja się bardzo cieszę! bardzo cieszę. Mam tedy raz przecie adoratora! A wie pan co go czeka? Przysięgam na wszystkie świętości, że pierwszym warunkiem i dowodem sentymentu dla mnie będzie, gdy adorator natychmiast pójdzie do Jeruzalem i z góry Oliwnej gałąź mi przyniesie.

Chorąży się rozśmiał.

— Pan myślisz, że ja żartuję? — rzekła — jeszcze raz panu ręczę i przysięgam, iż to trzeba będzie spełnić,

nim przyjmę pana za mego rycerza. Potem, zobaczymy. Pan podobno i tak jedzie do Holandji, łatwo mu będzie na okręt sięść i do Ziemi Świętej popłynąć.

Brdęski się śmiał.

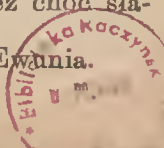
— Ale to tak jakby panna podczaszanka powiedziała, jedź, niech cię korsarze złapią do niewoli, i...

— Ja będę czekać aż pana wykupią—zaśmiała się Ewunia—na to słowo daję.

Brdęski nie miał najmniejszej ochoty płynąć do Jeruzalem i Ziemi Świętej, a prócz tego wody się okrutnie lękał, tak, że na promie trudno mu się było przeprawiać. Zaczął się śmiać.

— Pani dobrodziejka ośmicła mnie — rzekł — obracając w żart rzecz, o której bym ja chciał na serjo pomówić. Czy mogę mieć też choć słabienką nadzieję?

— Czego? — spytała Ewunia.



— Ze pani moją adorację łaskawie przyjąć raczysz?

— Ja nic adorować nie bronie!

— Pani mnie nie chcesz zrozumieć!

— Doskonale, owszem rozumiem chorążego, a pan mnie nie możesz, czy nie chcesz. Ja panu powiadam, jedź pan do Jerozolimy po gałązkę z góry Oliwnej.

— A gdy wrócę! — spytał chorąży.

— Pozwolę naówczas stanąć w szeregu, który tymczasem nim się pana doczekamy, spodziewam się... pomnoży...

— Czy już kto jest na liście? — szepnął Brdęski.

— Nie, dotąd nikogo nie mam, ale też ja niełatwo przyjmuję.

Podczaszy po drzemce się przebudził, rozmowa ustała, Ewunia się wyslizgnęła, i poszli oba z Brdęskim do tak zwanej kancelarji.

Zadumane jakieś oblicze przyszłego zięcia, dało do myślenia podczaszemu, lecz postanowił go nie pytać, zostawiając rzeczy czasowi. Liczył na to, że chorąży, człek wytrwały, serce niewieście znający, z taktem, z taką poczciwą i dobrą gąską jak Ewunia, da sobie radę.

Rozjechali się tedy w dobrej komitywie, a że po winie głowa bolała podczaszego i do wieczery nie szedł, kazał sobie tylko kaszki drobnej zrobić i do sypialni przynieść, dokąd też i Ewunię powołano. Chciał ją zdaleka wybadać.

Była mowa o tem i owem, potem ojciec zagadnął:

— Stateczny i miły wcale człek ten chorąży, no i fortuna, niczego po tym spadku, i wojskowo służył, i w głowie dobrze i wcale się pięknie prezentuje, do rzeczy! do rzeczy!

— O! pewnie! pewnie! — odpowiedziała spokojnie Ewunia.

— A asińdźce jakże się też podo-
bał? he?

— Mnie, dosyć. Bardzo szanowny
człęk, posiwiały w służbie kraju.

— Ei e! posiwiały! ledwie dojrzeć,
czy szpakowacieje! e! co znowu!

— Siwy tatuń! to darmo! bardzo
godny człęk, ale, bardzo siwy.

— Waćpanna tego nie wiesz, że
są ludzie co w dwudziestu leciech
siwieją—odparł podczaszy.

— Słyszałam, ale cóż to do mnie
należy, czy on siwy, czy czarny —
zawołała Ewunia.

— Zapewne że, tego—rzekł, łykając
kaszkę podczaszy—lecz, któż to może
wiedzieć, co komu przeznaczono?

Ewunia pocałowała go w czoło i
uścisnęła serdecznie, żywo rzucając
w ucho.

— Tatku! tatku! czyzbyś ty mnie
staremu dziadowi chciał dać? a fe!

Podczaszy, jakby złapany na uczyn-
ku, zmieszał się, boć córkę kochał.

— Ja cię pewnie zmuszać nie myślę do niczego — odezwał się czule — lecz obowiązek to rodzicielski, mieć rozum za dzieci. Młodość, moja panno, eh! eh! i twoja i cudza, to to promyk złońca, dziś jest, jutro nie ma, a gdy człek stateczny, wytrawny, poważny, to grunt.

— Gdybyś wszakże tatko znalazł sobie statecznego, wytrawnego, poważnego a młodego, jabym wolała. Podczaszy począł się śmiać.

— Ba! ba! ba! — rzekł — gdzież to wszystko w jednym się mieści, trzeba wybierać, aby było to co ważniejsze.

— Mamy czas, tatku — odparła Ewunia — nie mówmy o tem.

— Otóż owszem mówić należy — wrzucił podczaszy — nie chcę żebyś jak panna Marta, doczekała w wianku Jezusowych latek, a jam stary? Chcę widzieć szczęście twe i postanowienie nim oczy zamknę.

— Do tego daleko! tatku!

— Daleko czy blisko. *Deus scit*, a ja ci mówię, rozpatrz się w chorążym.

Ewunia siadła przeciwko ojca, popatrziała nań długo, długo.

— Darmobym patrzała, coraz więcej siwych włosów dojrzę.

Podczaszy rozśmiał się, zamilkł.

Gdy wyszła potem, pokręcił głową, i zabierając się do godziniek wieczorowych, rzekł do siebie.

— Ciężko to będzie przeprowadzić, dałem mu pozwolenie, to prawda, nie będę winien, gdy go dziewczyna nie zechce, a jak się uprze, dalipan serca nie mam gwałt jej zadawać. Trzebaby, bodaj na podstawkę o młodszym i pokąźniejszym pomysleć, z tego trudno by co było.

Zafrasował się wielce podczaszy, i bodaj czy tego dnia godzinki z uwagą mógł odmówić.

Sykstus po surowej djecie pani Wawrowej i Żółtkiewicza, był teraz jak pączek w maśle u państwa Bołtuszewskich. Piękna mecenasowa dbała o to, by mu się najmniejsza nie działa krzywda i szczególną zaszczycała protekcją, z której się potroszę w kancelarji podśmiewano, a po miasteczku plotek natworzono do woli. Nie było w tem przecież nic zdrożnego, serdeczna tylko litość dla biednego ubogiego chłopaka, w którym czuła mecenasowa odgadła pocziwe serce. Bołtuszewski nawykły słuchać jejmości, która zresztą nie dopuściłaby niesubordynacji, a prócz tego umiając oceniać zdolność i pracowitość Sykstusa, bardzo się do niego przywiązał i czuwał nad nim, jak nad okiem w głowie. Trafiło się na szczęście dla Sykstusa, że kilku obywateli znanych mu i nawykłych do jego skryptur, przeszło, szukając Warki do kance-

larji Bołtuszewskiego... zwiększyło to jeszcze wziętość młodego aplikanta.

Przyzwyczajony u Żółtkiewicza sam sobie służyć, stancję zamiatać, wodę nosić, w piecu napalić, tu miał wszystko gotowe, a podczas gdy pracował w kancelarji, mecenasowa wkra-
dała się często do jego izdebki i opatrywała bieliznę, rzeczy, sprzęt, aby mu na niczem nie zbywało. Niewidzialna ta ręka, której się ledwie Sykstus mógł domyśleć, z macierzyńską troskliwością czuwała nad jego ubogim zasobem, ale przytem przetrząsając i książki i papiery i szufladki, szukała śladu, poszlaki jakiegś z którejby mogła dojść w kim się Sykstus kochał. Tego była okrutnie ciekawa pani mecenasowa, gdyż miłosne męki i miłosne intryżki były dla niej najupodobańszem w życiu zajęciem. Że się zaś Sykstus kochać musiał, tego była tak pewna, iżby poprzysiądz mogła. Wi-

działała to z jego twarzy, oczów, ruchu, smutku, a choćby i z tego, że na jej czarnych oczu zaczepki, postawał stoicko obojętnym. Poczciwa mecenasowa nie gniewała się o to wcale, szczególna rzecz, chciała tylko wiedzieć koniecznie, w kim on się tak kochał. A! byłaby za odkrycie tej tajemnicy wiele a wiele dała! Pytać, wiedziała dobrze, że się na nic nie przyda, pilne śledztwo wyprowadzone w miasteczku, do niczego nie doprowadziło, przypadek dopiero, istny trafunek, ślad niejaki odkrył. Szperając w izdebce wszędzie, mecenasowa zajrzała do pieca, leżała w nim kupka niespalonych papierów, wyciągnęła je szczypcami i poczęła pilnie się w nich rozpatrywać. Na niektórych stały zwykłe trazesesy. „Najświętsza Panno formuj moją rękę, bym mógł opisać Syna Twego mękę,” potem próba pióra dobrego, atramentu czarnego, lub,

„Niech będzie pochwalony“ i t. p. Na innych koncepta do aktów pokreślone, początki modlitw, a nawet rysunki nie dowodzące wielkiego talentu. Przetrząsłszy to wszystko, już miała w piec rzucić nazad pani mecenasowa, gdy na świstku powtórzona stokroć jedna litera, uderzyła ją. Chwyciła papierek ów. Pełen był różnie pokreślonych E, niektóre z nich obwiedzione sercem, stały w niem jakby w aureoli. Ale cóż można dociec z takiego E, od którego się poczynają Elżbiety, Eleonory, a nawet według ortografii pani mecenasowej, która nie była mocną w tej trudnej nauce, wiele innych imion, które kapryśni piszą z różnemi dodatkami niepotrzebnemi. O! że od E się jej imię zaczyna, tobym przysięgła! — zawołała uradowana — ale co potem? co potem? mało E na świecie? W tem oczy jej padły na rożek papieru, gdzie drobiusieńko

wydrukował wśród zygzaków nieostrożny Sykstus, *Ewa!*

Mecenasowej dość tego było, ażeby się całej tajemnicy domysleć. Wiedziała, że był krewnym podczaszego, że go do Góry często posyłano, że nagle stosunki się zerwały, że go usiłowano odprawić, wysłać. Była już pewną, że się pokochał w Ewuni, o której wdziękach szeroko prawiono, a pani Bołtuszevska choć się jej dobrze przypatrzyć nie mogła, sama widziała ją też na odpuszcie w kościele.

— Teraz to już jestem w domu!
— zawołała — ot co jest! popatrzajcie! no! no! wysoko patrzy, wysoko. Ale czemużby znowu nie mogło to być? jeśli jest miłość prawdziwa.

Ta miłość prawdziwa, jak ją zwała mecenasowa, była jej życia utraeniem, szukała jej zawsze, żeby choć zobaczyć, a napatrzyła się tylko najnieprawdziwszych miłości. Mó-

wiono nawet, że nieboraczka sama jej szukała, ale się jej znaleźć nigdzie nie udało. Pasję miała do miłości prawdziwej pani Bołtuszevska, a że tym razem była pewna, że na taką trafiła, ucieszyła się niezmiernie, i dała sobie słowo najuroczystsze, iż będzie z całych sił nieszczęśliwemu młodzieńcowi, pałającemu tą prawdziwą miłością, dopomagać.

Poszedłszy na zwiady, z tą nicią Arjadny w rękę, mecenasowa z przenikliwością niewieścia, domyśliła się prawie całej historii, niezmiernie uradowana i szczęśliwa, że się jej dojść udało, o czem nikt w świecie nie wiedział.

— Czekajże, chłopcze — zawołała śmiejąc się — choćbyś teraz nie chciał, musisz mi się zwierzyć z wszystkiego.

Pierwszego dnia uśmiechała się tylko, patrząc na Sykstusa, nuciła, trochę go prześladowała bursztyno-

wemi włosami, niebieskimi oczyma; drugiego, znalazłszy chwilę po temu, gdy męża nie było, powołała go pod jakimś pozorem do bawialnego pokoju.

— Z waćpana, panie Warczyński taki skrytek, mruczek — rzekła — że gdyby nie kobiece oczy, aniby się domyśleć, co w sercu nosisz.

— Ja? w sercu?

— A tak! tak! nie kryj się przedemną, ja ci dobrze życzę, wierz mi — dokoła — i ja wszystko wiem.

Sykstus zapłonił się jak dziewczeczka.

— A ja nieszczęśliwy! o czym-że pani wie.

— Wszystko! wszystko — szybko poczęła mecenasowa — i powiem, wyrecytuję waćpanu jak z książki, kochasz się w pannie Ewie podczaszance, dla tego pana już do Góry nie puszczają, coś się domyślają. Ha! widzisz! — dorzuciła, kładąc mu bia-

łą, ale powalana dość rączkę, na ramieniu—wszystko wiem, i będę panu dopomagała.

Sykstus stał jak wryty.

— Pani mecenasowo dobrodziejko, królowo moja! — zawołał — nie pojmuję jak i zkąd pani mogła takie... takie wiadomości dostać, ale zaklinam panią na wszystko, niech pani...

— Nie wypieraj się chłopcze! nie wypieraj! — tupiąc nóżką rzekła mecenasowa — lepiej mnie mieć z sobą, niż przeciwko sobie. Ja was nie zdradzę, masz na to rękę moją.

Rękę Sykstus pocałował czule.

— Ale pani, to, to, plotki.

— Nie plotki! nie bałamuć! nie kłam! nikt nie plecie, nie wie nikt o niczem tylko ja.

— Zkądże pani?

— Ja? zkąd? a od czegoż rozum? a na co waćpan po papierku pisał Ewa! Ewa i serca malował? Aha? a jakaż to Ewa? he? juściż byś się

w nieboszczce pani Adamowej nie kochał, co w figowym fartuszkach chodziła, a tu na całą okolicę nie ma Ewy, tylko jedna stara szynkarka w Zabłociu, a druga ta.

Wypaliwszy to żywo, podała mu jeszcze raz rękę mecenasowa.

— Idź idź! żeby jegomość nie zaszedł, gotów myśleć nie wiedzieć co, a już bądź spokojny, ja cię nie wydam, i pomogę.

Powróciwszy do kancelarji, Sykstus więcej był zmartwiony tem, niż uradowany, siadł do roboty, przeklinając pióro, co go zdradziło, a postanowił wcale się do niczego nie przyznawać. Kobięcina teraz chodziła już słowem łamiąc, jakby tu prawdziwej miłości dopomódz? jakby się do dworu wślizgnąć, wmieszać w intrygę, dołki misterne pod nogami współzawodników kopać, i pięknego Sykstusa ożenić ze śliczną Ewunią, a potem mówić sobie zawsze z dumą, jak

o wielkiem dokonanem dziele: Jam to ich pożeniła.

Kobiecina ruchliwa nadzwyczaj, wścibska, domyslna, tegoż dnia dowiedziała się przez księdza Reformata, któremu zwierzył się ksiądz Gula, iż podczaszy miał wielką chęć i niezmierne postanowienie wydać Ewunię za chorążego. Ze wszystkich sąsiadów chorąży Brdęski był niezawodnie najwstrętliwszym mecenasowej, najprzód, że niemłody, powtóre, że z nim pośmiać się nawet nie było podobna ani na chwilkę, chodził, mówiła pani Bołtuszevska, jak zamalowany.

Pani mecenasowa, dowiedziawszy się o tem, biła w ręce i latała po pokoju, poruszona do głębi. Co, ten tam stary skwarek, żeby miał być mężem Ewuni, a odsadzić to moje różowe jabłuszko, a! niedoczekanie! świat trzeba wywrócić, a tego kryminału nie dopuścić.

Pochwyciła tedy męża zaraz, żeby wypytać o holenderską sukcesję.

Bołtuszewski trzpiot był, niezgrabny, impetyk, i nie stworzony do prowadzenia interesów, ale miał czasem pomysły i to co nazywają, *nosem*, doskonałe. O tej historii holenderskiej już coś słyszał i że ciekawa była, trochę się nią po cichu zajmował, w innym wcale celu.

Trafiło się, iż sznurkując doszedł więcej, niż drudzy wiedzieli.

Na wspomnienie o holenderskim spadku, ruszył ramionami i począł się śmiać.

— Albo co? albo? czegoż ty się śmiejesz? -- napadła go mecenasowa — gadajże.

— E! tego nikomu nie trzeba mówić, aby biedy nie napytać — rzekł po cichu mąż — ale to pewna, bo mnie na zapytanie, z Warszawy odpisano, iż ono to nie tak pewno jest,

jak szlachcic maluje. Ale sprytne
licho, robi sobie z tego postument
złoty, aby wyżej stanął.

— Nie może być! mów, mów co
wiesz! — poczęła ściskając męża z
wielkiej radości pani Bołtuszevska,
co między nawiasami mówiąc, tak
go, nie będąc zwyczajnem, przera-
ziło, iż się aż cofnął. Obawiał się
snać czego innego, bo w kancelarji
powiadano cicho, iż klapsy czasem
brał od jejmości, i to zwykle trze-
wikiem. — Mów, moje serce, mów.

— A jak się rozbębni?

— Któż ma bębnić? ja? ty wiesz
przecie, że niema kobiety do sekre-
tu jak ja.

Mecenas głową kiwał dwuznacz-
nie.

— Mów, bo się spalę z ciekawo-
ści! — powtarzała jejmość.

— Co tu mówić, chorąży w isto-
cie odziedziczył coś — rzekł mece-
nas — nie można wiedzieć ile, tyl-

ko to pewna, że jeśli zamiast piędziesięciu, pięć dostanie, Panu Bogu podziękuje. Jest tam pod procesem trochę grosza i to niepewnego.

— A ty wiesz, wiesz, że podczaszy ułakomiony na ów spadek, już córkę nieboraczkę, tak jak przyrzekł chorążemu. I co to takie małżeństwo będzie warte? to obraza Boża! grzyb taki! A panna go nie chce. Sumienie każe podczaszego ostrzedz, jak mi Bóg miły. I, słuchaj ty, tym sposobem wszedłbyś mu w łaski, a wysadziłbyś Żółtkiewicza, i, dalejby ci poszło jak z płatka.

Bołtuszewski się zamyślał.

— Wiesz, duszko, myśl niezła, tylko by ją trzeba ostrożnie wykonać.

— Otóż to bieda — westchnęła mecenasowa — ja zawsze ci dobre myśli daję, a ty jak weźmiesz w swoje ręce, zrobisz z nich lichy wie co.

— Myśl dobra! myśl dobra! Ja

nie mam żadnego obowiązku chować to w sekrecie — odezwał się chodząc po pokoju Bołtuszewski — pojedę do podczaszego.

— Jedź, zrobisz uczciwie i Pan Bóg ci to nagrodzi. Stary grzyb i do tego jeszcze kłamca! Chce mu się osiemnastoletniej panienki. Jedź zaraz, weź podczaszego na cztery oczy. A! mój Boże — przerwała mecenasowa, żebym ja była mężczyzną, jak Boga kocham, wiedziałabym jak to obrobić. Ale już, kiedy janiemogę, jedź waćpan.

Stanęło tedy na tem, iż nic nikomu nie mówiąc dokąd, jutro mecenas do Góry się uda i pana podczaszego przestrzeże.

Mecenasowa promieniała z radości.

*

*

*

Gdy się komu nie wiedzie to we wszystkim. Bołtuszewski, który pra-

cował, rzucał się, zabiegał, potniał, żeby przełamać dołę, był jak ten myśliwy, co wpadł w trzęsawicę, i im się z niej rozpaczliwiej dobywa, tem głębiej grzęźnie. Jechał do Góry promieniejący i pełen nadziei, wystrojony a najpewniejszy, że go podczaszy przyjmie i wyściska i... marzeniom nie było końca! śniła mu się generalna plenipotencja z rocznym jurgieltem znacznym. Tymczasem chmurnym a dżdżystym dniem, gdy dojechał do dworu w Górze, ledwie po długiem parlamentowaniu do podczaszege się potrafił doprosić. Stary siedział w swoim pokoju, *vulgo* zwanym kancelarją i pił rumianek, co było znakiem zawsze złego humoru i niedobrego zdrowia. Przyjął Bołtuszewskiego, którego tylko znał zdaleka i z nazwiska, bardzo kwaskowato. Mecenas po wstępie i preludjach nie odbitych, przystąpił do rzeczy.

— Sprowadza mnie tu — rzekł — sprawa nader delikatna i spodziewam się, że pan podczaszy za złe mi nie weźmie, gdy, spowodowany wielką estymą dla dostojnego domu jego, wtrącę się może w nieswoje rzeczy. Choćbym miał podpaść za me postępowanie naganie, obowiązek sumienia spełniony tłumaczyć mnie będzie.

Wstęp ten przyjął podczaszy mrużeniem, które niedźwiedzia, gdy się ma pogniwać, przypominało.

— Jest rzecz taka — mówił Bołtuszewski dalej — iż wypadek dał mi poznać rzeczywisty stan interesu holenderskiego p. chorążego, a że wieści chodziły, iż oparty na spe-randach miał już zastukać do tego domu, prosząc o rękę jejmości panny podczaszanki, poczuwałem się w o-bowiązku przybiedz z przestroga.

Gdy sądził, że wywrze największe wrażenie, zdziwiony został nie-

przyjemnie Bołtuszewski, widząc jak podczaszy zżymnął się, szklankę z rumiankiem wywrócił i ręką machając, zawołał:

— Bardzom asindziejowi wdzięczem, ale po co to się było fatygować i opiekować naszymi sprawami. Ja o sytuacji pana chorążego wiem, a ręki mej córki wcale mu nie przyrzekałem. Rozumu mi przecie Pan Bóg tyle dał, że się na plewę lada komu złapać tak nie dam.

Mecenas i zląkł się i zmieszał.

— Przecież — zawołał — tego nikomu za złe wziąć nie można, gdy z dobrego serca chce przestrzedz.

— Za złe ja tego asindziejowi nie mam — rzekł podczaszy, sapiąc i drapiąc — ale o tem, o czemeś mnie chciał asindziej tak pilno przestrzedz, dobrze wiem. Chorąży niewiele pewno dostanie. Któż znówu bajkę splótł, żebym ja ułakomiwszy się zaraz na grosz, staremu córkę swatał?

Przecież podczaszanka znajdzie sobie łatwo męża, i z groszem i z imieniem.

— O! to pewno! — westchnął Bołtuszewski.

— Osobliwsza rzecz, jak to ludzie ludźmi opiekować się niepotrzebnie gotowi zawsze, byle się wkręcić, byle...

Mecenas miał za czapkę, bo już tu widocznie robić co nie było, a podczaszy stał i fukał i burzył się.

— Panie podczaszy dobrodzieju — rzekł nieco urażony — zawsze nieproszonym natrętem bywa to, co mnie, choćby szli z najlepszem sercem, powinienem się tego być spodziewać. Do nóg upadam.

— Kłaniam się! kłaniam! — odparł podczaszy — bywaj asindziej zdrów.

Gniewny i rozdrażniony, a w dodatku głodny, mecenas wybiegł, koni przy ganku nie znalazł i piechotę jeszcze, psom się oganiając, musiał

iść wozu szukać. Kłął też co wla-
zło.

Że mu się tak nie powiodło, nikt
nie był winien oprócz losu, który
chciał, by właśnie przed paru go-
dzinami przestroga z innego źródła
przyszła, i w gniew wprawiła pod-
czaszego.

Bołtuszewski nie wiedząc o tem
na pierwszy ogień trafił. Od dworu
puścił się po konie ku stajniom pod
płotem ogrodowym. Jakoś właśnie
po deszczu słońce wyjrzało i pogo-
da wiosenna rozweseliła niebo, przez
płot widać było szpaler wzdłuż nie-
go się ciągnący, a w szpalerze Boł-
tuszewski zobaczył piękną pannę,
która biegnąc z drugiej strony, cie-
kawie mu się przyglądała.

Choć zły, mecenas obejrzał się też
i poznał pannę Julję Rębaczyńską z
fracymeru Ewuni, dobrze sobie i
żonie swej znajomą. Była to taż sa-
ma, która Sieboniowi wyniosła he-

roinę do oprawy. Często jeżdżąc do miasteczka po sprawunki, do kościoła, panna Julja odwiedzała mecenasową, która choć ubogą szlachcianką nie gardziła, bo się przez nią nowinkami ze wsi karmiła. Julja poznała była Bołtuszewskiego, nie będąc pewną czy się nie myliła. Zaciekawilo ją, po co on mógł przybywać, co robił i dlaczego jakby po ogień przybiegłszy, z powrotem rusza. Z za płotu dobrze mu się przypatrzywszy, Julja nie wahała się zawołać:

— Panie mecenasie, co pan tu robisz u nas?

— Dzień dobry pannie, dalipan, że nie wiem, i co tu robię i po jakiego kata ja tu przybyłem — zawołał mecenas — chyba, żeby nieforemną dostać odprawę od podczaszego.

— Cóż to? już pan jedziesz?

— Jadę! jadę, byłem konie od-

szukał — machając rękami i skacząc po ścieżce jeszcze nie oschłej od wiosennego deszczu, wołał Bołtuszewski.

— Czekażże pan! — krzyknęła panna Julja — ja z panem pomówić muszę. Czekał chwileczkę.

— Cóż? przez płot?

— Idźno pan zwolna, a dziesięć kroków, jest furтка, wpuszczę pana do ogrodu, a ot, altana, przysiądziesz i pogadamy.

— A! żeby mnie podczaszy złapał, i...

— A! — rozśmiała się panna Julja — co znowu? waćpan żonaty, a ja pańskiej żony przyjaciółka i trochę powinowata. Chodź bo pan.

Zawahał się mecenas, bacząc na to, że mu się już we wszystkim tak nieszczęśliwie wiodło, iż i tu licha jakiego mógł napytać, ale impetycznej pannie Julji i jej czarnym ocz-

kom oprzeć się było trudno. Uległ i wpadł z nią do altany.

Ma się samo z siebie rozumieć, że go najprzód panna Julja, korzystając ze złego humoru, wypowiedała jak należy, i dobyła z niego i to co chciał, i to czego jej wcale nie życzył powiedzieć. Julja była wielką swej pani wielbicielką i pierwszym jej sprzymierzeńcem, pomyślała tedy zaraz, jakby to z Bołtuszewskiego skorzystać.

— A! a! słyszałam — rzekła, myśl bardzo szczęśliwą chwyciwszy, z uśmiechem figlarnym i udając trochę zawstydzoną — że państwo wzięli do siebie pana Sykstusa Warkę po odprawieniu go od Żółtkiewicza.

— A tak! — zawołał mecenas — jest przy mnie.

— To bardzo miły i zacny chłopiec — dodała, kręcąc węzły na chusteczce panna Julja.

Bołtuszewski spojrział na nią, a że

mu żona o Sykstusa miłości dla panny Ewy nie wyznała nic, domyślił się, jak chciała panna Rębaczyńska, że między nią a Warką był niewinny romansik.

— Cóż to jest, że panna Julja tak nim interesuje?

— Ja, e! tak, nic! — figlarnie mówiła dziewczyna oczy opuszczając — ale to mój kuzyn.

— A! kuzyn! kuzyn! — powtórzył mecenas — blizki?

— Daleki — przebaknęła panna Julja — bardzo się o niego kłopotczę. Dawniej bywało czasem go tu Żółtkiewicz przysyłał, teraz wcale nie widać. Właśnie mi był przyrzekł kazać księżę oprawić, a nie mam jej przez kogo posłać?

Mecenas popatrzał.

— To proszę mi ją dać — ja idę do stajni, bobym rad jednej godziny ten dwór opuścić, nim konie zaprzęgą, będę czekał.

Julja się zerwała.

— Przepraszam pana — rzekła — książka poszarpana muszę ją związać i w tej chwili służyć będę. A, nim odejdę — dodała słodko się wdzięcząc do niego, mój panie mecenasie, niech państwo na niego będą łaskawi.

— O! już o to nie ma się co troszczyć? — zawołał Bołtuszewski — moja żona go wzięła w opiekę, zakochała się w nim wprost, opływa jak pączek w maśle, a i ja go bardzo lubię, bo w głowie dobrze.

— I w sercu jeszcze lepiej — dokończyła Julja znacząco — potrafi się odwdzińczyć, ręczę.

Mecenas ręką machnął i do koni poszedł. Julja pobiegła do Ewuni, aby przez tę zręczność karteczkę posłać biednemu Sykstusowi.

Tymczasem podczaszy, który tak niegrzecznie zbył mecennsa, chodził mrucząc po pokoju i sam się teraz gniewał na siebie. Czuł to dobrze,

iż się nie godziło tak postąpić z człowiekiem, który mu wcale nie zawinił, a na złą trafił tylko godzinę. Spojrzał oknem, ani koni, ani mecenasa. Zadzwoił na chłopca, markotno mu było, przytem opamiętał się, że u Bołtuszewskiego był Sykstus i że można było przez niego jeszcze tentować o pozbycie się tego niepokoju.

— Bieź, leć, nogi za pas — zawołał do chłopca — tego pana, co tu był sprowadź mi nazad, grzecznie! rozumiesz! powiedz, że ja bardzo proszę, bardzo a uniżenie proszę.

Chłopiec kopnął się tak, że na gancku kozła wywrócił, o progu zapomniawszy, przyleciał zdyszany do stajni do mecenasa, ponieważ uniżenie prosić kazano, w rękę pocałował i począł przerywanym głosem zapraszać do podczaszego.

Bołtuszewskiemu się to w głowie jakoś pomieścić nie mogło, zły był,

chciał grubo odpowiedzieć, lecz zmiarkował, że sobie gorzej interes popsuje, i że tym żółto brzuchom, jak nazywał szlachtę zamożną, uledez należy. Choć mruczając, lecz zawrócił do dworu, ale konie kazał zaprzęgać i przed ganek zajeżdżać. Nim się dostał do kancelarji, już podczaszy z niecierpliwości na próg przeciw niemu wyszedł.

— O! przebaczcież mi też moją prędkość — rzekł, rękę podając — byłem chory i markotny, licho wie, co mi się stało. Nie gniewajcie się.

Mecenas niewyraźnie coś odbąknął.

— No, siadaj! siadaj, obiad zaraz, od obiadu nie puszczę. Bóg widzi, dziękuję ci, miałeś intencję dobrą, czuję to, trafiłeś tylko na zwarzonego człeka.

Bołtuszewski skromnie się już zachowywał.

— Co się tyczy chorążego -- do-

dał podczaszy — wiem, mam się na ostrożności. Jako żywo nic mu nie obiecywałem. Jeśli to mówi, kłamie.

— Nie wiem czy mówi, czy nie, ale ludzie plotą.

Podczaszy westchnął.

— Istna bieda! — rzekł — mieć córkę młodą a posażną i jedynaczkę, radbym ją prędej za męża dać! Przyjmijmybyś zasnął już spokojnie.

— O! o to się nie ma co pono troszczyć — rozśmiał się mecenas.

— Licha tam, mospanie! — westchnął ojciec — za męża dać łatwo, ale tak aby córka, i ojciec, i pan młody, i świat był kontent, wielka sztuka.

Zagadano o czem innem, podczaszy wyraźnie lawirował, obchodził coś, nim przystąpił do rzeczy.

— Zebrało mi się — rzekł — dosyć i innych kłopotów na głowę, proces ten o Szumlańszczyznę asindziej znasz, a oto i krewniaka nam

ubogiego, któregobym pokierować chciał i ten mi się kozłem stawi.

— Kto taki? -- spytał mecenas.

— A któż jeśli nie Warka? — mówił podczaszy — wszak ci to on u pana pono teraz aplikuje. Słyszałeś pewnie, że i Żółtkiewicz i ja, chcieliśmy mu pomódz, żeby to na ludzi wyszło, do Lublina go posłać pragnął, nie! uparł się tu w miasteczku gnić.

Bołtuszewski się uraził nieco.

— Nie wiem prawdziwie dla czego tu został, kiedy mu się tak szczęśliwie trafiło przenieść na większe teatrum, ale, panie podczaszy dobrodzieju, ludzie i nas nie gniją. Chłopak zdolny, piękny, roztropny, stateczny, bardzo dobroboću, oż^ody spokrewniony z pierwszym i domami przetoruje i tu sobie drogę, i dalipan pójść może daleko.

— Daleko? jak daleko? — uśmiechnął się stary — najlepiej wy to

wiecie i Żółtkiewicz, cóżeście wy tu przy pracy i trudzie zrobili? he? Żółtkiewicz goły, żyje jak kapucyn, a waść?

— Ja, panie podczaszy — przerwał Bołtuszewski, fortunym się nie dorobił to prawda, ale to pewną, że muszę być, *malikowaty*.

Podczaszy zaczął się śmiać.

— Zresztą, Sykstusa Warki ani równać do mnie, jam się wybił o swej sile, on ma rodzinę i protekcję, no, i szczęście.

— A skądże o tem wiesz? — spytał podczaszy.

— Jakto? patrzę się na to — odezwał się mecenas — jego wszyscy kochają, mali, wielcy, starzy, młodzi, kobiety, mężczyźni, to największe szczęście pono, a mnie to zawsze spotykało — dokończył — co u wać-pana dziś rano.

Podczaszy aż go uścisnął.

— I odpuść nam nasze winy —

rzekł zcicha — trafiłeś bo na rumianek, a to wszyscy wiedzą, że gdy go piję, burczę. — Po chwili dodał: — asindziej byś mi. powinien dopomódz Sykstusa ztąd wyprowadzić, taki czy do Lublina, czy do Piotrkowa, czy do Warszawy.

— A koniecznie wyprowadzić? — spytał zdziwiony nieco mecenas.

— Chłopcowi świat potrzebny — dodał podczaszy, miarkując się aby nie wydać — i co prędzej to lepiej, później powrócić może w te strony, osiąść, a no, młodym grzybem zostać zawczasu nie potem.

Na tem się skończyło. Wszedł ksiądz Gula, podano obiad, Bołtuszewski przy stole po raz pierwszy zobaczył podczaszankę w całej krasie i majestacie. Smutną tylko była czegoś tego dnia i zamyśloną. U stołu mówiono o Szumlańszczyźnie, o sąsiedztwie, o urodzajach, o wiośnie, a po stole wkrótce mecenas poże-

gnał się i do wózka pośpieszył. W drodze dopędza go panna Julja i oddała związaną Heroinę, skazaną na podróżowanie w kieszeniach do miasteczka i z miasteczka.

*

*

*

Im trudniej było pozbyć się Sykstusa, tem podczaszy mocniejszego nabierał przekonania, że między Ewunią a nim musiał choćby dziecinny i niewinny istnieć, jakiś stosunek. Potwierdzało te jego podejrzenia to, że od czasu jak się w Górze nie pokazywał, Ewa posmutniała, pobraadła, bywała często zamyśloną i nawet na zdrowiu szwankować zaczęła. Podczaszy kochał córkę nadewszystko, jakkolwiek się czasem srożył i odgrażał i mówił sobie, że postąpi dla jej szczęścia chociażby przeciw jej woli, gdy popatrzył na więdnący swój kwiatek jedyny, gotów

był za wszelkie ofiary, tylko nie na Sykstusa.

Z tą myślą ubożuchnego chłopca, pogodzić się nie mógł. Jako stary, miał swe prozaiczne pojęcia, wręcz przeciwnie wyobrażeniom córki, zdawało mu się, że chłopak młody, przystojny, rozsądny, uczciwy, brunet czy jasnowłosy, z garbatym czy zadartym nosem, jeden drugiemu był równy.

Brał więc ową tęsknotę za ochotę wyjścia za mąż, za rodzaj młodzieńczej słabości, którą musiało wyleczyć małżeństwo.

Był nawet pewien, iż Ewunia zapomni, jeśliby co w sercu miała, gdy się jej przyzwoity chłopak trafi. O chorążym już przestał myśleć, oburzyło go to, że nań złote sieci zastawiał, dumał teraz kogo wziąć na jego miejsce. Jak na złość, młodzież która dawniej najeżdżała Górę, tak że się drzwi nie zamykały, teraz ja-

koś bardzo rzadko przybywała w odwiedziny. Chłodne przyjęcie Ewuni było tego oczywistą przyczyną. Nie mogło mu się wszakże pomieścić w głowie, mimo poszlak, oznak i prawdopodobieństwa, aby Ewunia istotnie miała palestrancika tego, któremu on po talarku dawał za przepisywanie, pokochać. W końcu niespokojny, niepewien co począć, jednego postanowił dnia rozmówić się z ochmistrzynią panią Kropiwnicką, osobą stateczną, która nad fraucymerem dozór miała, i przy Ewuni znajdowała się od dzieciństwa.

Kropiwnicka, osoba lat już pięćdziesięciu kilku, wdowa po urzędniku, choć zajmowała tu stanowisko skromne, szanowaną była przez podczaszego, kochaną przez Ewunię i lubioną przez wszystkich. Tajemnicą, która jej serce jednała, było to, co zwykle ludzi kochać każe, sama ona miała serce szlachetne. A że w ży-

ciu doświadczyła wiele, przecierpiała i odbolała, nie ją już ani dziwiło, ni niecierpliwiło. Na pozór chłodna, spokojna, zimna, surowa nawet, zyskiwała dopiero przy blizkiem poznaniu. Ewunia ją kochała jakby matkę, ona ją więcej niż własne dziecię.

Nie mieszała się zresztą do niczego, co do niej nie należało i zostawiała tyle swobody Ewuni, ile tylko było można, a gdy przyszło jej coś odmówić, przestrzedz, odradzić, czywała to tak serdecznie, iż otrzymywała co chciała. Jedyną słabością i ułomnością pani Kropiwnickiej było, że lubiła koty, i że te stworzenia kochać nie umiejące, kochała prawie z ludźmi na równi.

Koniec tomu trzeciego.



